№ 35.

Warszawa, dnia 29 Sierpnia 1863 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki**, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

O DZIESIĘCINIE KOŚCIELNÉJ

W POLSCE.

(Dokończenie).

W starożytnéj Polsce długo biskupi trzymali się owéj pierwotnéj kościoła praktyki, iż biskup szafarzem, a więc niejako właścicielem jest wszystkich dziesięcin kościelnych. Ztąd poszło, że gdy nawet dekrety papieżów dziesięcinę z nowizn i z gruntów nowo wykarczowanych, przyznawały kościołom parafjalnym, a nawet klasztorom, biskupi jeszcze sobie prawo do tych nowizn rościli. Że zaś to bardzo było niedogodném tak dla plebanów, zakonników, jak i dla książąt i panów świeckich mających przez to utrudnione kolonizowanie gruntów dzikich, ztąd objawiły się spory, najprzód na Szlązku, na którym proboszczowie i przełożeni klasztorów radzi nie radzi przemocy biskupa za pewném wynagrodzeniem ulegać musieli. Spór ten posuwając się w dalsze lata i przechodząc do Wielkiéj i Małéj Polski, znacznie ustępstwem biskupów ułagodzony został. Przeciągał się jednak znacznie daléj, i dopiero za Zygmunta I papież Leon X ogłosił bullę w r. 1515 ostatecznie stosunki tejże dziesięciny regulującą.

Biskupi wrocławscy przed rokiem 1207, uwolnili byli od dziesięcin zupełnie pewien najniższy rodzaj poddanych zwanym Smardami, a którzy z gruntów swych do pewnych niższych posług dworowi obowiązani byli. Za ten ubytek dziesięciny biskupstwu, dziedzic owych Smardów, wynagrodził darowaniem niektórych z tych poddanych razem z gruntami które zajmowali, więc właściwie książę dziedzic ich uwolnił, a nie biskupi. Lecz i to uwolnienie nie długo trwało, biskup bowiem Wawrzyniec zaczął zmuszać owych Smardów książęcych do dziesięciny. Ztąd powstał opór, który rozstrzygając sąd papiezki, uznał zwolnienie od dziesięciny owych poddanych zwanych Smardami, Łazękami, Stróżami i Popracnikami za wielkie nadużycie, i nakazał aby nie tylko od nich dziesięcina płaconą była, ale nawet aby poprzedni ubytek wynagrodzony został.

Sądząc z uniwersałów poborczych wnosić można, że w ziemiach innych polskich, przypadków uwolnień od dziesięcin jak na Szlązku musiało być więcéj, zwłaszcza że do późnych bardzo czasów zawsze się jeszcze dosyć liczne znajdowały wyjątki siół, dziesięciny kościelnéj nie płacących.

W prerogatywach dla szlachty polskiéj pod względem dziesięciny dwa główniejsze widziemy punkta, które do czasów odległych zaraz po ustaleniu wiary chrześcijańskiéj odnieść należy. Jednym z tych punktów było, iż szlachcic nie był obowiązanym do odwożenia dziesięciny z gruntów dworskich, jak to czynili włościanie, lecz że duchowny sam po nie miał posełać. Dowóz bowiem dziesięciny stanowiłby pewną osobistą wysługę i oznakę podległości, a z dawien dawna właśnie to było cechą rycerstwa i szlachty, i stan ten w owych czasach do żadnych osobistych służb i obowiązków, prócz służby rycerskiéj i wojennego przewodu, zobowiązanym nie był. Co do wolności od dowozu dziesięciny była ona tak powszechnéj opinji odpowiadającą, iż przez długie wieki nikomu nawet na myśl nie przyszło szlachtę o to nagabać. Pomimo jednak dowodów historycznych, popierających tę prerogatywę szlachty, w XV wieku powstało zaprzeczenie tego prawa obywatelstwu, a przynajmniéj uwłaczanie onemu, dowodząc że dopiero od czasów wniesienia do Polski herezji Lutra, kościół dał się znaglić do pewnych ustępstw, pod względem saméj dziesięciny i odwożenia jéj przez szlachtę.

Drugi punkt prerogatywy, którą kościół przez długie czasy nietykalną zachowywał, był ten, iż dziedzice dóbr, dziesięcinę składać mogli do upodobanego im kościoła. Dziesięcinę tak według woli rozporządzaną, zwano swobodną *Decima libera*, i dziedzice przeznaczali ją na uposażenie domów bożych, a w każdym razie tych w których były ich groby i w których święte przyjmowali sakramenta.

Rozporządzanie jednak takie dziesięciną, ze słusznych powodów, było przez duchowieństwo bardzo niechętnie widziane. Z dowolnością bowiem taką łączyć się koniecznie musiało niepodobieństwo kontroli onéjże przez kościół, a zatém niepewność funduszów parafialnych. Wreszcie sama nawet egzystencja dziesięciny swobodnéj, która z nazwy swéj podobną była raczéj do pobożnéj prostéj oblacji, któréj uchybić można było bez grzechu, niż do do nieuchronnéj powinności, nie mogła być tolerowaną przez duchowieństwo. Nic więc dziwnego, że już wcześnie, bo w początkach wieku XIII widziemy przedsiębrane przez duchowieństwo środki ukrócenia coraz większego téj prerogatywy szlachty.

Ze sporów ztąd wynikłych, przy ukróceniu dowolności rozporządzania dziesięciną, ustanowioną została dziesięcina tak zwana *w gonitwę*, która była przeciwieństwem dawania dziesięciny swobodnéj, czyli obowiązująca do oddawania jéj pewnemu kościołowi stale oznaczonemu.

Dziesięciną w ogóle powszechną i normalną była oddawana w gonitwę; dziesięcina zaś swobodna. była przywilejem szlachty wyjątkowym. Cała ogromna massa gruntów zostająca w rękach ludzi niżéj położonych od rycerskiego stanu, zobowiązaną była do dziesięciny w gonitwę; przede wszystkiém tedy włoscianie wszelkiéj kategorji. Ci bowiem w czasach najdawniejszych, bez mała wyłącznemi byli posiadaczami gruntów, gdy dziedzice zrazu bardzo małą tylko część pod własne swe gospodarstwo brali, przestając na daninach i mytach kmieciów, tudzież na przeróżnych osobistych służbach poddaństwa, wystarczających sowicie ówczesnym jeszcze zbyt prostym potrzebom pańskim. Późniéj dopiero, pod koniec XIII wieku, za danym pierwszym przykładem wzorowego własnego gospodarstwa zakonników klasztornych, zwłaszcza Cystersów, dziedzice coraz częściéj, folwarki dworskie własnym zachodem uprawiane rozszerzać zaczęli. Mimo tego, gdy największa massa gruntów włościańskiém była uposażeniem, niewiększa téż ilość dziesięcin oddawaną była w gonitwę.

Lecz poznawszy rzecz, o którą głównie chodzi, niełatwo jest odgadnąć, dlaczego takie oddawanie nazywało się *w gonitwę*, i co w szczególności ten wyraz *gonitwa* znaczył. To pewna, że w stosunkach w których nazwę tę użytą widziemy, nie mogła oznaczać ani wyścigów, ani turniejów, ani pogoni i t. p., do których ją późniejsze naszego języka zabytki przywiązują. Nie miałoby to najmniejszego związku z oddawaniem dziesięciny. Wątpić także należy, aby wyraz *gonitwa* oznaczał kiedy miejsce składowe, np. wspólną stodołę pewnego duchownego okręgu, do któréjby dziesięcinę zwożono. Gdyby to bowiem było takiego rodzaju miejsce zbiorowe, toby w łacinie nie pisano *decima persolvenda in gonitvam* lecz pisanoby *conducenda ad gonitvam* i tłumacze z XVI wieku nie mówiliby o dziesięcinie *w gonitwę* płaconéj, lecz *do gonitwy*. Bo choć już może mniéj dokładnie samą rzecz znali, to przynajmniéj zachować musieli formę językową, która nie można przypuszczać, aby się im nie miała objiać według tradycji starych ludzi. Wreszcie nie może *gonitwa* oznaczać miejsca składowego, bo szlachta nawet dziesięcinę z tych grun-

tów, z których obowiązaną była dawać w gonitwę. nie odwoziła nigdzie, tylko we własném gumnie przechowywała.

W braku, co do wyrazu *gonitwa*, zabytków starożytnych naszego języka, jeżeli się udamy do zabytków innych języków słowiańskich, to znajdziemy w wokabularzach czeskich z XIV wieku wydanych przez Hankę, że *dyocesis* zwie się po staroczesku *honytwa*, *patria* znaczy *honytwa*. *Territorium* znaczy *honytwa*.

Mamy więc wyraz gonitwy w znaczeniu najprzód dyecezji, a potém w znaczeniu *territorjum* i *ojczyzny*, które wszystkie zlać można w jedno znaczenie pewnego ziemskiego okręgu, pewnéj prowincji, tém bardziéj, że i dyecezji pierwotne znaczenie jest prowincja lub pewien okrąg kraju.

Dyecezji biskupiéj nie można tu w ścisłém znaczeniu przypuszczać, bo dziesięcinę *w gonitwę* dawano i do innych kościołów, nie koniecznie do samych biskupich. Nie można także przypuszczać parafji w dzisiejszém znaczeniu, bo na oznaczenie téjże byłby użyty prastary wyraz *osada*, zdawna popłacający i u nas i u innych Słowian. Tu więc nierównie prędzéj da się pogodzić pojęcie dziesięciny dawanéj w okrąg kraju, w prowincję, to jest dziesięciny okręgowéj, prowincjonalnéj, czyli z całego pewnego okręgu wybieranéj. W istocie wwielu dokumentach dawnych znajdujemy wzmianki, o dziesięcinie z licznych włości całéj pewnéj obszernéj okolicy, z kasztelanji całéj, a nawet ziemi, razem do jednego kościoła należącéj.

Według więc tego dawać dziesięcinę *w gonitwę* znaczyłoby dawać ją w okrąg. czyli dawać ją wspólnie z mieszkańcami całego pewnego okręgu. Długosz robiąc wzmiankę o dziesięcinie, powiada że należy ją dawać *in commune, alias in gonitwam*. Według więc tego gonitwa znaczy pewną łączną współkę, pewną składkę ogólną większego lub mniejszego okręgu, w którą razem dziesięcina snopowa z owych wsi zbieraną była. Wiadomo nam, że i w krajach postronnych, zbieranie i łączenie w jedno pewnych podatków lub danin publicznych, nazywano technicznym wyrazem *Commune* albo *compensum*.

Rzeczą jest do prawdy podobną, że jak dziś mówimy: zgromadzać, skupiać się w jedno, tak dawniéj można było mówić: *zganiać coś w jedno*. Ztąd po dziś dzień noszą nazwę, znane w gospodarstwie *zgoniny*, ztąd i wyraz *zgon* niegdyś nie oznaczał jak dziś, samego tylko *skonu*, lecz znaczył tyle co *zegnanie do kupy*, *skupienie*, *spędzenie zmiot* lub *zbiór*, jakichciś rzeczy licznych w jedno. Co większa, używany tak samo u innych słowiańskich narodów, wyraz *zgon*, przybiera w ruskim i czeskim starym języku formę: *shonem zgonom* znacząc wtedy tyle, co wszyscy razem. Czyż więc nie godzi się przypuścić, że starodawne u nas dawanie dziesięciny *w gonitwę* jest toż samo co dawanie onéjże *w zgon* lub *zgonem*, to jest przez wszystkich okręgowych razem.

W zamknięciu swéj zajmującéj pracy, autor następną robi uwagę, że jako w ciągu XVI i XVII wieku, dawna prerogatywa dziesięciny swobodnéj zapomnianą została, tak téż naturalnym trybem rzeczy, i osobna techniczność nazwy oddawania dziesięciny w gonitwę, stracić musiała swą praktyczność. Nie było już po co dziesięciny normalnéj odróżniać osobną dawną nazwą, skoro i wyjątek od téj normy przestał być w użyciu. Zapomniano tedy zwolna, tak o tém, czém była dziesięcina swobodna *Decima libera*, jako téż i o tém, czém była dziesięcina dawana w gonitwę *Decima in gonitvam solvend.* Z tego to powodu, na wstępie oświadczyłem, iż nie znajdzie już dziś nikt ludzi takich, którzyby z własnéj praktyki odbierania dziesięcin mogli wiedzieć, czém była dziesięcina w gonitwę oddawaną.

W streszczeniu tém pominęliśmy wiele szczegółów i cytat różnych dokumentów, które autor na poparcie swego dowodzenia przytacza. Ciekawych zatém odsyłamy do samego artykułu, który ze wszech miar, na bliższe poznanie czytelników zasługuje.

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Wiadomo wszystkim, że cesarz Napoleon III pracuje ciągle nad życiem Cezara, i nie szczędzi wszelkich starań jakich wymaga tak ważne i mozolne zadanie. Rezultatu z pracy téj, szczególniéj uczeni wyglądają, niezmiernie ciekawie, a tymczasem opowiadają małe zdarzenie, będące w związku z literackiém cesarza przedsięwzięciem.

W pierwszych latach panowania Ludwika Filipa, była królowa neapolitańska Karolina siostra Napoleona I, przybyła do Paryża, w zamiarze dochodzenia praw swych, u rządu francuzkiego. Dowiedziawszy się zatém, że znajduje się pewien skrzętny zbieracz posiadający różne korrespondencje i dokumenta dotyczące rodziny Bonapartych, pragnęła koniecznie nabyć je, i wzamian ofiarowała własnoręczne listy Napoleona. Gdy jednak przyszło do ukończenia interesu, pokazało się że królowa listy owe zastawiła w Medjolanie, ale w zamian za nie ofiarowała egzemplarz komentarzy do Cezara, osiem tomów w pargamin opra-

wnych, które Napoleon na wyspie S-téj Heleny ciągle czytywał i na wszystkich prawie kartach, porobił notaty własną swą ręką.

Ów zbieracz, zobaczywszy tak ważny materjał historyczny, aż zadrżał z zachwycenia i radości archeologicznéj, a idąc za swym zapałem wyznał nieostrożnie, że książki te uważa za większéj wartości, niż listy i dokumenty przez siebie posiadane. Że zaś w spekulacjach handlowych nadzwyczaj trzeba być ostrożnym, a przynajmniéj nie zapalać się nawet w umowach zawieranych z najdostojniejszemi osobami, prowadzony zatém interes zwichnął się i nie przyszedł do skutku.

Gdy bowiem archeolog stawił się przed byłą królową dla dopełnienia zamiany, ta chciała mu dać tylko pierwsze cztery tomy, literat rozjątrzony oświadczył, że tak szacownéj całości nie godzi się psuć rozdzielaniem i że żąda albo wszystko, albo nic. Na to ultimatum, królowa zawahała się, z Cezarem wróciła do Włoch i wkrótce umarła, nie zostawiwszy najmniejszego śladu, co się stalo z książkami. Gdzie więc są obecnie, czy je przypadkiem nie posiada sam Napoleon III? jest to zagadka któréj nikt stanowczo nie umie rozwiązać.

—O dziele Hermana Senunig wydaném po niemiecku, o średniowieczném piśmiennictwie francuzkiém, jeden ze sprawozdawców tak się wyraża:

W strasznych wstrząśnieniach społecznych, często najboleśniejsze fakta mają w sobie zaród szczęśliwych następstw. Tak polityczna emigracja, która z Niemiec rozlała się po Francji, Anglji i północnéj Ameryce, jest w sobie rzeczą smutną, ale jak po zdobyciu Byzancjum, rozsypani uczeni greccy, naukę roznieśli po Włoszech i innych krajach i dali początek nowéj epoce oświaty, tak wędrówka Niemców wygnańców politycznych, przyczyniła się do rozpowszechnienia znajomości języka i literatury niemieckiéj, pędząc najszlachetniejsze żywioły do Anglji i Francji, a spekulacyjne, głównie zajęte zarobkiem do Stanów Zjednoczonych. Co jednak jest najważniejszém w tém dziele, to wybijająca się wszędzie szczera miłość i przywiązanie autora do Francji, tak rzadka między Niemcami, zapominającemi zwykle niemieckiéj swéj ojczyzny, a nienawidzącemi nowo przybranéj, dającéj im chleb, bezpieczeństwo, a bardzo często bogactwo. W dziele pana Seunig wszystko dzieje się przeciwnie, autor bowiem nie wyrzekając się swojéj narodowości, powiada że Francją kocha, szanuje i w dowód tego w pracy swéj grupuje jak najjaśniejsze obrazy odrzucając wszystko, co może być jaskrawém, ciemném, lub rażącém. Rzadki to pisarz, i tym więcéj godzien poszanowania, jeżeli zważymy zwykłą stronność literatów niemieckich i jak dla nas ujemną i szykanującą.

— Jakkolwiek literatura w całym podobno świecie, w obecnym czasie, cokolwiek kulawo i leniwo wlecze się na chudym pegazie, jednak czasami wystąpi coś takiego co ogólną obudza ciekswość. Pomiędzy innemi, do podobnych publikacji, należy krótki, ale niezmiernie zajmujący opis badań naukowych, dopełnionych przez Dyrektora meteorologicznege oddziału James Gletcher w czasie ostatniéj jego nadpowietrznéj podróży, w któréj wzniósł się do takiéj wysokości, do jakiéj żaden jeszcze z podróżników nie doszedł. Uczony ten urządził swe obserwatorjum w pośród powietrznego oceanu w wysokości więcéj mili polskiéj nad ziemią, podróż zaś swą odbywał w Lipcu, Sierpniu i Wrześniu roku przeszłego.

Im wyżéj balon się wznosił, powiada p. Gletcher, tym puls bił szybciéj, tak że gdy na ziemi robił uderzeń na minutę 74, w wysokości 24,000 stóp doszedł do 110,

Kiedyśmy byli o 19,000 stóp od ziemi ręce moje i usta zsiniały, późniéj zaś w miarę wzbijania się do milowéj wysokości, uderzenia serc naszych tak się stały głośne, że je słyszéć można było, a oddychanie zaczęło być coraz trudniejsze. Na 20,000 stóp od ziemi towarzyszowi memu Coeswellowi zatamowało oddech, ja zaś nie doznawałem najmniejszego nieprzyjemnego uczucia. Będąc o 26,000 stóp nad ziemią, spostrzegłem, że nie mogę już dojrzéć cienkiego słupa żywego srebra w barometrze, a wkrótce i kreski stopniowe, stały się dla mnie niewidzialne.

Z powodu ruchu balonu, powróz przymocowany do klapki przekręcił się i Coeswell zmuszony był wejść na obręcz wiszącą na siatce balonu, ażeby go poprawić. Co do mnie w téj chwili, oprócz osłabienia wzroku nic innego nie doświadczałem, wkrótce jednak uczułem że ręce moje ubezwładniły się. Chciałem niemi poruszyć, chciałem poruszyć się całym sobą, lub nogą nareszcie, wszystkie usiłowania były nadaremne, i mając całą przytomność umysłu, całą świadomość niebezpiecznego swego położenia, w jednéj chwili stałem się jak kłoda martwa i nieczuła. Spojrzałem na barometr, ale w téj chwili głowa moja pochyliła się na lewe ramię, późniéj w chwilkę poruszona opadła na prawe. Wkrótce upadłem na wznak, plecami do ściany czółna, a głową na jéj brzeg Leżąc spojrzałem na Coeswella, ciągle siedzącego na obręczy. W tém nagle znalazłem się jakby w ciemności, nerwy moje oczne zostały sparaliżowane i zacząłem rozważać stan mój obecny, rozumiejąc dobrze, że zbyteczne wzniesienie się jest

przyczyną wszystkich tych symptomatów, i że z pewnością umrę, jeżeli jakim sposobem balonu nie zdołam obniżyć. Ale jakim? to była niepokonana trudność, o którój myśląc, straciłem zupełnie przytomność i omdlałem, jakbym usnął. Wysokość w jakiéj wówczas znajdowaliśmy się wynosiła do siedmiu mil francuzkich, a wokoło nas panowała tak martwa i głęboka cisza, tak najmniejszy odgłos do uszów naszych nie dochodził, że coś w tém było przerażającego a nawet okropnego,

Nagle usłyszałem dwa wyrazy: temperatura postrzeżenia, przytomność więc wracała i poznałem, że to Coeswell do mnie przemówił powróciwszy do łódki, i że zmusza mnie do powstania. Późniéj usłyszałem jak powiedział nagląc: ależ sprobuj wstać! Wkrótce dojrzałem kreski na barometrze, twarz mego towarzysza, nakoniec podniosłem się i zacząłem oglądać jak człowiek, który tylko co się ocknął.

— Byłem nieprzytomny, powiedziałem do mego towarzysza.

— Tak, byłeś, odpowiedział ale i ja byłem bliski tego stanu.

Wyprostowawszy się, wyjąłem ołówek i zacząłem robić postrzeżenia. Coeswell powiedział, że stracił władzę rąk, były one zupełnie czarne, i że wróciwszy z obręczy, z początku sądził, żem się położył odpocząć, ale kiedy zaczął przemawiać do mnie i nie miał odpowiedzi, domyślił się, żem był nieprzytomny. Chciał więc zbliżyć się do mnie, ale nie mógł i uczuł, że sam bezwładnieje. Ze strachu chciał otworzyć klapę, ale ręce go nie usłuchały, uchwycił więc zębami za powróz, targnął nim silnie i to nas uratowało.

Przypadłości te nie miały żadnych złych następstw, bo spuściwszy się na ziemię, i nie mogąc nająć koni, przeszliśmy pieszo osiem blisko mil z największą łatwością.

PUSZCZYK.

(Sielska gawęda).

Śród krzyżów cmentarnych. w ruinach kościoła,
Zagnieździł się puszczyk sprzymierzon z upiorem.
Gdy słońce się skryje, i w noc, i wieczorem
On smętnie wciąż woła:
Pójdź!

Śpiew jego żałosny w północnéj zaciszy
Postrachem i drżeniem wieśniaków przenika,
Bo śmierć on zwiastuje każdego, kto słyszy
Wołanie puszczyka
Pójdź!

Gdy starzec stuletni pośpieszyć nie zdoła,
Przechodzi strwożony około cmętarza,
Bo puszczyk z ruiny donośnie nań woła,
Aż echo powtarza
Pójdź!

Wieśniaczka po pracy gdy wraca z wieczora,
Unosząc na ręku maleńkie swe dziecie,
Ucieka co siły, bo czyha na życie,
Przyjaciel upiora
Pójdź!

Młodziutka sierota przybiegła od sioła,
Och ona się jedua upiorów nie boi,
I we dnie i w nocy, przy grobach wciąż stoi,
Choć puszczyk nań woła:
Pójdź!

Została — oczęta jéj łzą się zrosiły,
Szli ludzie co chcieli wziąść biedną do sioła,
— Nie bójcie się, rzekła, to matka z mogiły
Swą donię tak woła:
Pójdź!

Seweryn Zaleski.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Pamiętniki z wojny amerykańskiéj, (Dokończenie)

Autor tak daléj prowadzi swoje opowiadanie.

Pomimo jednak tego chwilowego wyjścia z niebezpieczeństwa, bitwa zacięta trwała na wszystkich punktach i wszędzie nas parto i bito. Szczęściem, że główne siły przyszły nam na pomoc, z nią ożywiło się męztwo, nieprzyjaciel zaczął się cofać, nacierając jednak na nas swą kawalerją i artylerją. Z nocą ustała bitwa, w któréj straciliśmy poległych 2,176, a rannych 4,637. Pułk mój sam stracił 108 ludzi w zabitych, a 189 w rannych przez nieudolność generałów i oficerów komenderujących.

Dziś opisując to zdarzenie sam się dziwię, że tylko z taką stratą pułk mój wyszedł z ognia krzyżowego, wjakim znajdował się przez półczwartéj godziny, i tylko Opatrzności przypisuję ocalenie mnie z téj prawdziwie parzącéj nas łaźni.

W dalszym postępie za cofającym się nieprzyjacielem, zostawaliśmy w nieustannych utarczkach, i choć byliśmy liczniejsi, zawsze jednak, nie my, tylko nieprzyjaciel nas atakował, zabierając do

tego jak najkorzystniejsze pozycje. Z tych poruszeń wnoszę, że mieliśmy na przeciw nam dobrych generałów, a przekonałem się nadto, że nieprzyjaciel ma zdatniejszych, lepszych i odważniejszych oficerów. Nieprzyjaciel będąc o wiele słabszy co do piechoty, cofał się w najlepszym porządku, artylerja gdzie tylko mogła tworzyła baterje parując nam drogę. Tém wszystkiém żołnierz nasz tak był zmordowany i osłabiony, że musiano wstrzymać pogoń i zmienić pozycją na całéj linji bojowéj. Dnia 15 Maja stanęliśmy nareszcie pod murami miasta Riesmond, w okolicy leśnéj i błotnéj, z zamiarem oblegania miasta.

Główno dowodzący nami jenerał Mak-Clellan co dwa dni puszczał balon, z dwoma osobami dla rekognoskowania poruszeń i fortyfikacji nieprzyjaciela. Żywność mieliśmy jak najgorszą, złożoną z sucharów i słoniny lub mięsa solonego. Wodę mieliśmy brudno białego koloru jak mleko z kawą pomięszane, chleba prawie nigdy bo przez pięć tygodni nie widziałem go ani kawałka, do tego służbę jak najmozolniejszą: w dzień mustrę, w nocy warty, sypanie baterji, dróg, szańców, słowem dokuczała nam nędza nie do opisania. Zaczęły się zatém pokazywać choroby, zdrowi zaś biwakowali pod gołém niebem raz na deszczu i w błocie, drugi raz pod palącém słońcem. Z chorób szczególniéj grassowały febra i tyfus, dowodzący żądał posiłków z Waszyngtonu, ale mu ich nie dostarczano, lękając się powierzać wojsko Mak-Clellanowi, publicznie prawie oskarżanemu o zdradę lub zupełną nieudolność.

W Ameryce są teraz dwie główne partje, bo pośrednich z rozmaitemi odcieniami, jest tyle, że aż spowodowały wydawnictwo grubéj książki poświęconéj jedynie spisowi wszelkich partji, stronnictw, sekt i różnych korporacji. Partje główne są republikanie, do których należy sam prezydent, i demokraci liczący w swych szeregach generała Mak-Clellan. Ztąd niechęć i nieporozumienie, tak że w r. z. odebrano mu główne nad wojskiem dowództwo, a oddano generałowi Hallek.

Chociaż nabawiony febry, dnia 19 Czerwca, komenderując wartą i posterunkami, w nocy po północy, usłyszałem bicie alarmu, i dowiedziawszy się, że nadchodzi nieprzyjaciel w licznych kolumnach, zwinąłem posterunek i wróciłem się do pułku. Dano nam rozkaz zajęcia pewnéj pozycji, a pułkownik pragnąc jak najśpiesznićj dopełnić, zakomenderował krokiem podwójnym, a nakoniec kłusem. Wkroczywszy do lasu, powstał w szeregach naszych najokropniejszy nieporządek, skutkiem którego przy najmniejszém nieprzyjaciela natarciu, zostalibyśmy co do jednego zmasakrowani. Lecąc tak w pośród ciemności, zawadziłem o pieniek i z całym pakunkiem i ciężarem padłem na ziemę, a na mnie kilku żołnierzy. W pierwszéj chwili straciłem przytomność, podniesiony przez żołnierzy, uczułem mocny ból w sobie i zbierając wszystkie siły, po dość długiém nawoływaniu, uformowałem na nowo pluton i połączyłem się z pułkiem, stojącym pod karabinowym ogniem. Zaledwie uformowaliśmy się jako tako, nieprzyjaciel przywitał nas strzałami i wkrótce natarł bagnetem. Działa trzy w tyle za nami stojące uratowały nas od zupełnéj klęski nieprzyjaciel się cofnął, nam ubyło 31 zabitych a 79 rannych i ja odebrałem małą ranę bagnetem. Dnia następnego febra i trudy tak mnie osłabiły, że w lazarecie przeleżałem tydzień w mocnéj gorączce. Pijawek w całym szpitalu gdzie 3,200 rannych leżało, to samo lodu, nie można było dostać za żadne w świecie pieniądze.

W czasie choroby dochodziły nas nowiny jak najgorsze. Nieprzyjaciel armję naszą pobił na wszystkich punktach i zaczął maszerować do Jorktown, to jest tam gdzie leżałem. Przy rewizji uznany za niezdatnego do dalszéj służby, wysłany zostałem do Baltimory, ale pomieszczony już tylko pod namiotami, bo miejsca w szpitalu zabrakło. Obchodzono się z nami prawdziwie po barbarzyńsku, jakby z gniewu, żeśmy się pozabijać nie dali. Nie pytano się, czy pić lub jeść żądamy, a o usłudze nawet nie pomyślano, jako o zbytku bez którego można się obejść. Mieszkańcy tego miasta są za południem, przyjęli więc nas z jawną nienawiścią najokropniéj przeklinając i wymyślając. Osmego Lipca, opuściłem Baltimorę i stanąłem we dwa dni w domu mego przyjaciela w Nowym Jorku. Poprzednio jednak odebrałem dymissję, gażę z góry za cztery miesiące, świadectwo że dla wypadku z upadnięcia jestem niezdatny do służby, co wszystko uwalniało mnie zarazem od złożonéj Stanom Zjednoczonym przysięgi. Po czteromiesięcznéj zatém służbie wojskowéj, zostałem znowu wolnym człowiekiem, a po kilku tygodniach, przy poczciwych staraniach i opiece zacnych ludzi wróciłem do sił i zupełnego zdrowia, gotowy do usług już tylko własnéj ojczyzny. Obecnie kiedy to piszę d. 1 Listopada 1862 r., mieszkam w Bostonie, pracuję na utrzymanie życia, to piórem, to ręczną pracą i czytając gazety zastanawiam się nad biegiem rzeczy i polityki.

SZARADA.

Drugie wszystkim wiadomo, że jest sławną rzeką.
Do *trzeciego czwartego*, nie bardzo daleko.
Trzecie pierwsze zwierzęta, o tém dobrze wiecie,
Wszystka nie zawsze ludziom prawdę *drugie trzecie.*

A. T.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Zamiary**).

Nowości Zagraniczne.

Journal des dames et des demoiselles. Przytaczamy tu kilka ładnych sukien, jakie nam wpadły w oczy. Suknia ciemno popielata bareżowa w czarny marmurek miała u dołu falbankę z główką objętą czarnym rulonem bareżowym. Nad tém

szły trzy falbanki naszyte w wielkie zęby, szpiczaste w górze zaokrąglone u dołu wychodzące jeden z pod drugiego. Końce tych zębów w górze zwężały się stopniowo. Najwyższa z falbanek miała wypuszczoną główkę. Staniczek pod szyję przybrany był bertą przechodzącą z obu stron przez ramię, a na piersiach skrzyżowaną nakształt chusteczki. Ta berta objęta była falbanką z czarnym u brzegów rulonikiem. Rękawy ścięte od łokcia, nie szerokie lecz otwarte, zakończone były dwoma falbaneczkami. Na zarzucenie służyła mantylka szalikowa z falbanką, z tego samego jak suknia bareżu.

Sukienka dla dwónastoletniéj panienki, popielata wełniana, wyszyta była nad obrębem czarną aksamitką w ukośną kratę. Główną ozdobą stanika tworzył pas szwajcarski naszyty również w kratę. Na ulicę do téj sukienki służyła takaż sama rotonda wyszyta odpowiednio aksamitką.

Suknia ciemno popielata wełniana, w jedwabne paski czarne, miała przód naszyty torsadami z pasmanterji czarnéj, położonemi jedna nad drugą. Z obu stron tychże plecionek, spadały kwasty czarne. Stanik gładki tak samo był przystrojony. Rękawy ścięte, dosyć wązkie, miały u ręki przybranie z pasmanterji i kwastów. Od ramienia spadały podobneż epolety w ząb zakończone pięcioma kwastami.

Suknia czarna bareżowa, kończyła się u dołu dwoma falbaneczkami. Nad tém szły po dwie klapki jedwabne, długie przeszło na ćwierć łokcia, objęte koroneczką zakładane na krzyż, w środku przepięte guzikiem. Stanik gładki, spinał się na jedwabne guziki. Rękawy ścięte od łokcia, przybrane były przez środek podobnemi klapkami.

Suknia czarna bareżowa, w biały rzucik, miała nad obrębem trzy ruszki z gładkiego czarnego bareżu, dane jedna nad drugą. Sfanik marszczony, spięty był na guziki. Ruszka czarna zakończała stanik u szyi, takaż ruszka zdobiła brzeg ściętego rękawa.

Dla dorosłéj panienki bardzo ładnie wyglądała spódniczka czarna bareżowa, w białe podłużne paseczki. U dołu zakończona tylko szerokim obrębem. Zamiast stanika szła biała muszlinowa koszulka, złożona z samych bufek, przyszywanych w podłuż wszywkami. Rękawy z jednéj buffy, kończyły się u ręki ruszką z walansienki, takaż ruszka zdobiła stanik w górze.

Petit courrier des dames. Spódniczki z falbankami powszechnie zostały przyjęte. Do ubrania noszą białe, ozdobione dwoma lub trzema karbowanemi falbaneczkami, na codzień zaś utrzymują się spódniczki wełniane przybrane szlakiem wyszywanym i falbanką. Przy długich sukniach jakie dziś noszą falbanka u spódnicy koniecznie jest potrzebna, gdyż odsadza suknię od dołu.

Na wsi i u wód noszą tylko kapelusiki okrągłe; upowszechniły się szczególniéj dwa fasony, postyljoński i Franciszka I. Ten ostatni prześliczny zwłaszcza na jesień. Bywa on zwykle kastorowy popielaty, z jednéj strony podwinięty w górę, z drngiéj przybrany długiém strósiém piórem.

Paris elegant. W magazynie pod *skabiozą* uważaliśmy parę bardzo gustownych sukien, których tu opis podajemy. Jedna z nich z koziéj wełny, popielata z czarném, miała u dołu ukośny wolancik, fałdowany a nad nim trzy plisy czarne mantynowe naszyte w płaskie zęby. Stanik postyljoński z karoczkiem, składał się jak zwykle z kamizelki i kaftaniczka oznaczonego podwójną plisą. Rękawy dosyć wązkie, ścięte do łokcia stosownie były przybrane.

Inna suknia także z lekkiéj wełnianéj tkaniny, w czarne paski na tle białém, miała u dołu wolant fałdowany, szeroki na ćwierć łokcia, z główką, przeszyty wstawką czarną gipiurową na białém podwleczeniu. Stanik postyljoński, oznaczony był równie jak rękawy, podobnemi wstawkami.

U kąpieli morskich w Dieppe i Trouville. ukazują się nadzwyczaj dziwaczne stroje. Nigdy excentryczność w ubraniu nie doszła do takiego stopnia jak w téj chwili. Niektóre paryżanki ubierają się po szkocku, w suknie w jaskrawe kraty i aksamitny toczek z białém kapłoniém piórem. Inne znów noszą suknie i paletoty całkiem czerwone w rozmaitych odcieniach, z epoletami, i ogromnemi kieszeniami z boku, a do tego kapelusze okrągłe z białém piórem. Tak ubrana kobieta, wygląda na oficera angielskiego. Zamiast szpady, laska stanowi konieczne dopełnienie tego dziwnego stroju.

Opis deseni do haftu.

N. 1. Deseń do wyszycia czarnym sutaszem, na sukienki, bluzki i t. d. — N. 2. Kołnierzyk czarną i białą bawełną haftowany na cienkiéj webie. — N. 3. Połowa mankietu zapinanego na 5 guziczków na wierzchu. Całość tego rękawka pod N. 19. — N. 4. Deseń do wyszycia sutaszem i perełkami czarnemi. — N. 5. Połowa kołnierzyka do haftu atłaskowego. — N. 6. Mankiet. Całość rękawka pod N. 10. — N. 7. i 8. Desenie do wyszycia sutaszem i haftu czarną bawełną lub jedwa-

biem.— N. 9. Wzór rękawka białego.— N. 10. Wzór rękawka. — N. 11. Wzór kołnierzyka marynarskiego.— N. 12. Ubranie chłopczyka 6-cio letniego z lekkiego kortu albo piki. — N. 13. Ubranie panienki. Spódniczka popielata wełniana z takimże kaftanikiem i paskiem szwajcarskim. Bluzka z białego nanzuku.— N. 14. Fartuszek biały dla trzyletniéj dziewczynki.— N. 15. Wstawka.— N. 16. Bluzka biała muszlinowa. z krótkiemi rękawkami, na wierzch kaftaniczek krótki muszlinowy z długiemi rękawami.— N. 17. Suknia czarna kamlotowa ściągana na sznurki w festony. Spódnica pod spód wełniana w czarne i białe paski obłożone szlakiem aksamitnym. Paltocik kamlotowy. Kapelusz okrągły z białej słomy i rondkiem czarném, nbrany piórami strusiemi i kokardą aksamitną. Parasolka czarna średniéj wielkości.— N. 18. Suknia czarna kaszmirowa, zupełnie gładka ściągnięta na sznurki, żeby się nie szargała w kurzu na ulicy. Rotonda także kaszmirowa na jedwabnéj podszewce obszyta falbaną gipiurową. Kapelusz czarny krepowy. — N. 19. Rękawek półbatystowy z mankietem webowym. — N. 20. Wstawka.— N. 21. Narożnik do chustki od nosa. — N. 22. Deseń do wyszycia aksamitką.

Opis formy kaftanika rannego, koszul damskich i kaftanika dla dziecka.

N. 1. Przednia część do kaftanika rannego, może bydź zupełnie z gładkiego perkalu albo złożona z bufek, wstawek i falbanek haftowanych, w takim razie daje się tylko boczek perkalowy jak oznaczony na formie.— N. 2. Plecy do kaftanika rannego.— N. 3. Rękaw marszczony do pachy i do gładkiego paska u ręki. — N. 4. Mankiet z dubeltowego perkalu albo ze wstawki i falbanki haftowanéj.— N. 5. Pasek całkowity do rękawa który się składa we dwoje.— N. 6. Kołnierzyk z dubeltowęgo perkalu obstębnowany na około.— N. 7: Całość kaftanika. — N. 8. Karczek do koszuli dziennéj układany w drobne kontrafałdy i zeszywany, tylko na ramionach. Rękawy również układane w kondtrafałdki.— N. 9. Całość koszuli. — N. 10. Karczek drugi do koszuli dziennéj z naramkami. Pasek może bydź haftowany, albo układany w fałdki.— N. 11. i 12. Naramki. — N. 13. Całość koszuli. — N. 14. Kaftaniczek dziecinny z białego perkalu wyszyty czarnym sutaszem. Forma ta sama bez wyszycia służy do wykrojenia koszulki dla małego dziecka.— N. 15. Rękawek do tegoż kaftaniczka.

DONIESIENIA.

Nakładem sztycharni nut **A. Dzwonkowskiego,** ulica Miodowa N. 482, (nowy 4) opuściły niedawno prassę następujące muzykalja.

R. Mączyński. 4. *Polonaises caracteristiques. 1. Le plainte*, cena złp. 5. *2. Te souviens-tu.* Pamiętasz mówił, cena złp. 3 gr. 15. *Marche hongroise* de Rakoczy, arangée pour le Piano. Cen złp. 3. Kazimierza Łady Polka i Mazur na skrzypce i fortepian, cena złp. 5. i *Płoczczanin.* cena złp. 4 Boguckiego.

Marsz żałobny wykonany w Warszawie w czasie obchodu pogrzebowego po zgonie X-cia *J. Poniatowskiego*, cena złp. 3.

Śpiewy religijne, ułożone na fortepian, organ lub fisharmonijkę przez Józefa Sosnkowskiego. N. 1. *Kiedy ranne wstają zorze.* Cena złp. 1.

W Redakcji Tygodnika Mód można nabyć:

—*Książkę do nabożeństwa dla wieśniaków*, ułożoną przez Janka z Bielca, z dwoma rycinami, w oprawie mocnéj ozdobnéj, za złp. 2 gr. 15; kupującym egzemplarzy 10 przesyłka nastąpi kosztem Redakcji.

—*Modlitwę poranną* Janka z Bielca, po zniżonéj cenie egzemplarz za gr. 10.

—*Obrazek Matki Boskiéj Częstochowskiéj*, sztuka gr 3.

—*Alfabet duży i mały* do uczenia liter, arkusz gr. 3.

Kupującym za złp. 10 ostatnich trzech wydawnictw, Redakcja takowe kosztem swoim prześle.

PIGUŁKI Z ROŚLIN PANA CAUVIN

Służą do czyszczenia krwi i pomagają do trawienia pokarmów. Wzmacniają kiszki i trzewia, leczą niestrawność, zamulenia żołądkowe nie osłabiając żadnego z organów ciała. Przy użyciu nie wymagają ani dyjety, ani osobnego napoju. Można je nabyć w Redakcji Tygodnika Mód po złp. 4 za pudełko z przepisem użycia ich w pięciu językach.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się opis deseni do haftu, oraz opis formy kaftanika rannego, koszul damskich i kaftanika dla dziecka Nr. 96.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 35 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 29 Sierpnia 1863 roku.

STARY MOTYL.

WSPOMNIENIE PRZEZ M.......

Dalszy ciąg.

Długą chwilę tak patrzył i nie wiem, czyby się był ośmielił przerwać zamyślanie dziewczęcia, tyle ono było uroczystém i smętném, gdyby Idalka, nie podniósłszy wreszcie pochylonéj głowy, nie dojrzała kogoś na boku. Spojrzała nagle, zadrżała, i jak złoczyńca pochwycony na gorącym uczynku krzyknąwszy, twarz rękoma zakryła.

— Czyż ja już tak straszny jestem? czy obecność moja tak przykre na Pani robi wrażenie, że mię przyjmujesz wykrzyknikiem przestrachu! i patrzéć na mnie już nie chcesz? wyszeptał p. Lucyan szatańskiéj słodyczy głosem. Panno Idalio! dodał, zbliżając się i biorąc jéj rękę „uspokój się proszę!" Idalka blada ze wzruszenia, tyle to zjawisko było dla niéj nadspodziewaném, pomięszana tak, że na słowo zdobyć się na mogła, spojrzała tylko błagalnie na niego, nie cofnęła swéj ręki i tak siedziała, jakby zmartwiała pod wpływem woli tego człowieka.

Uśmiechnął się zwycięzko p. Lucyan do siebie, i pocałowawszy już z zupełnie zwyczajną galanteryą trzymaną rączkę, puścił ją wreszcie, przysunął krzesło, a usiadłszy wniém jak najwygodniéj, mówił daléj wesoło.

— Allons donc! Mademoiselle, Vous êtes une petite peureuse à ce que je vois! Ja tu idę z zamiarem przyjemnego zadziwienia pani, umyślnie koniom za bramą czekać kazałem, a Pani tak się mnie zlękłaś, jakbym był Dieu me garde, posłannikiem piekieł. Ha! ha! ha! to zabawne doprawdy! a teraz, boisz się pani jeszcze? Oprzytomniona jego wesołością Idalka, przetarła oczy, i już zupełnie naturalnie odrzekła:

— Tak było cicho w domu i w pokoju, tak nikogo nie spodziewaliśmy się dzisiaj, że prawdziwie, nie zapowiedziane żadnym turkotem przybycie pana, przestraszyło mię, jak cós, cós, czegom się najmniéj spowiedziała.

— Jakto! więc pani nie myslałaś, że przyjadę znowu? zapytał z przekorą p. Lucyan. Zawahała się Idalka, a po chwili odrzekła:

— O! przeciwnie! myślałam o tém nie raz, bo przecie pan to obiecywałeś przy swoim odjeździe, a ja, nie mam jeszcze powodu nie wierzyć ludziom na słowo. Ale kiedy parę tygodni minęło, a pana widać nie było, sądziłam, że zapomniawszy o obietnicy, wrociłeś już pan do Warszawy.

— Votre sincérité me charme, parole d'honneur! zawołał uśmiechając się wdzięcznie p. Lucyan, ale godziłoż się zwątpić na końcu! i posądzić mię o zapomnienie! mnie! który całą drogę myślałem tylko, aby co prędzéj wrócić i znowu mięszkankęTylczy odwiedzić,

— Miaszkankę! powtórzyła Idalka uśmiechając się z niedowierzaniem.

— Tak pani, mięszkankę, sto razy powtórzę. Car au reste, cóż mię obchodzą te wieśniacze figury, śmieszne, lub nudne maryonetki? To tylko ramki, bardzo nędzne ramki w które zmuszony jestem oprawiać méj duszy najśliczniejszy obraz.... Bo przecież wart on innych bezwątpienia .... Zatrzymał się chwilę, a widząc, że Idalka odpowiedziéć nie myśli, zapytał:

— Czemuż mam przypisać czarowną przyjemność być dzisiaj przyjmowanym przez panią, przez panią tylko?

A odebrawszy tłomaczenie, zawołał z uniesieniem:

— Niech żyje moje jedyne, nie ocenione przeczucie! Adam bardzo mi odradzał, abym tu dziś nie jechał, zapewne dla tego, aby konie snopki zwoziły! miséricorde! ale ja! kiedy raz co postanowię, nie zmieniam zwykle, dodał z przesadą. Więc tyle molestowałem poczciwego Adasia, że się nie mógł w żaden sposób wykręcić. I trafiłem tak ślicznie! tak cudownie, quele surprise, quel bonheur! nie posiadam się z radości doprawdy.

Zatarł ręce z ukontentowania, wstał, przeszedł parę razy po pokoju, potém cygaro zapalił, pro-

sząc jednak zawsze najpokorniéj o pozwolenie, pytając z troskliwością, czy szkodzić nie będzie?

Korzystając z jego zajęcia Idalka, wybiegła na chwilę, aby powiadomić domowych o przybyciu gościa.

Nowina ta, pomimo świéżego ataku migreny, tyle zdołała rozerwać p. Rzywińską, że usiadłszy na łóżku mocno ubolewać najprzód zaczęła, że nie jest w możności przyjąć osobiście tak miłego gościa, który zapewna znudzi się i gotów już może więcéj nie przyjechać! Potém, polecała go bez końca Idalce, aby ją o ile można zastąpiła, żeby go częstowała, i bawiła, ile sił tylko stanie.

Rozweselona témi obawami Idalka, wróciła do gościa, któremu, dosłownie powtórzyła polecenia p. Rzywińskiéj.

— Wszystko, na co mogę się zdobyć w odpowiedzi na żale szanownéj gosposi jest to: „Bénie soit la migrène d'aujourd" hui! zawołał śmiejąc się serdecznie p. Lucyan, gdyby nie ona, nie miałbym sposobności spędzenia tu kilku chwil, które odtąd do uroczych mego życia zaliczę.

Ach pani! czas ulata! gdyby go można zatrzymać.....!

— To czego pan pragniesz nie w mocy człowieka, ale od nas samych zależy starać się aby to, co nam jest miłe, najczęściéj się powtarzało, odrzekła rumieniąc się Idalka.

— Zapewne! zapewne, ale, czyż to zawsze od nas samych zeleży? Tyle okoliczności często na przeszkodzie staje, tyle obowiązków mimowoli krępuje. Naprzykład ja, co duszą i sercem przylgnąłem do tych okolic, co myśl moją, spokojność, jedném słowem połowę siebie samego zostawię tutaj, a jednak dzisiaj już muszę liczyć dnie i godziny, które mi do zabawienia w Krakowskiém pozostają. I niedosyć, że odjechać muszę.... nad tę konieczność daleko sroższém jest przypuszczenie, że pamięć o mnie nie przetrwa może méj tu przytomności, że jak przchodni meteor, zginę bez wspomnienia wtedy właśnie, gdy tego wspomnienia, jak jedynego dobra wyczekiwać będę....!

— Dla czegóż pan tak źle nas sądzisz? Dla czego nie chcesz przypuścić cóś wprost przeciwnego? mówiła, wzruszona jego żalami Idalka. Zaręczam panu, my wieśniacy, niewdzięczni nie jesteśmy. Jeśli kto godzien pamięci, pamiętamy o nim.....

— Jeśli kto godzien....? cóż mi zaręczy, żem na tę pamięć zasłużył. Mogęż być zarozumiałym, i bezwarunkowo przypisać ją sobie? Nie podobna! Są chwile w życiu, w których najbardziéj siebie pewny, zwątpi o swém *Ja* zupełnie, a myryardy strachów, otoczą go dokoła!

O! daj mi pani tę pewność, a o połowę przynajmniéj oszczędzisz męczarni człowiekowi, który na nie, wcale nie zasłużył.

— Jeżeli to cóśkolwiek dla pana stanowić będzie, to powiem z zwyczajną moją otwartością, że po pańskim odjeździe zostanie próżnia, niełatwo zapełnić się dająca. Ale przecież, przyjedziesz pan znowu kiedy, zapytała stłumionym głosem Idalka.

— Dzięki, o! dzięki pani za piérwsze! téj chwili szczęścia, którą mi dałaś, nigdy nie zapomnę! I powiem pani zrównąż szczerością, że tak się skończyć między nami nie może. Przyjechać prędko, niepodobna, ale przecież są sposoby, powiedzenia komuś oddalonemu, że się o nim myśli. Są listy od tego.....

— Mówiąc to, wpatrzył się w Idalkę, czekając niecierpliwie co odpowie na to.

Namyśliła się chwilkę, a potém odrzekła.

— Zapewne, są listy, ale dla tych, którzy mają prawo, pisać je i odbierać. Ale ja...!?

— Każdy ma prawo do tego pani, kto odczuł, w kimś drugim duszę swojéj duszy, zawołał p. Lucyjan patetycznym głosem.

— Tak, ustawy, i prawidła towarzyskie....

— Tout est fiction pani, dla dwojga ludzi poświęconych sobie. Po co się dobrowolnie krępować, gdy wolność tak miła? Prawdziwie rozumny człowiek, swojém tylko rządzi się przkonaniem.

Mężczyzna, zapewne! ale kobieta, ta wieczna ofiara widzimisię drugich!

— Kobietę rozumną, wierz mi pani, stać na to, aby o własnéj sile ponad poziom się wzniosła. A jeżeli do tego odda się w opiekę człowiekowi pełnemu uczciwości, może być pewną, że nic na tém nie straci.

Chyba, że mi pani nie wierzysz, a w takim razie, cóż mam czynić abym ją przekonał?

— Wierzę panu, wierzą w jego dobre chęci, bo cóżbyś pan miał za powód oszukiwać biedną dziewczynę. Ale.... nie wiem prawdziwie....

— O! ja wszystko pani ułatwię! przarwał prędko p. Lucyan. O co pani chodzi? Jeżeli o pozór naszych korespodencyi? c'est peu de chose, croyez-moi. Słyszałem od kuzynów pani, żeś poetka w całém znaczeniu tego wyrazu, bo płody twéj myśli i twego pióra, z uniesieniem od sąsiadów czytane bywają.

Nie miałem wprawdzie czasu na ich ocenienie, jednak teraz właśnie proszę o przesłanie mi kilku co przędniejszych utworów; mając stosunki

z literatami, mogę żądać k... yki i pomięszczenia w pismach bieżących. I tak następnie. Co pani napiszesz, to mi przyślesz bezwłocznie, a ja szczęśliwy będę wydobywszy z ukrycia talent, któryby może zwiądł w tém zaciszu, nieoceniony nigdy odpowiednio. A potém, zobaczemy. Postarasz się pani przyjechać do Warszawy, a życie nieznane dotąd, pełne wrażeń i natchnienia czekać cię tam będzie....

Długo jeszcze rozmowa toczyła się w ten sposób. Rozmarzona Idalka obrazem uśmiechów téj przyszłości, widziała w tym człowieku, który ją tak pięknie snuł przed jéj oczami anioła dobroci, szlachetności i wdzięku. Nie ma co mówić, że p. Girtenfeld umiał wybornie odegrać każdą przybraną rolę, i wmówić w drugich, co tylko mu się podobało. Nic dziwnego, że tém więcéj w Idalkę która sama, prosta i szczera, oddalona od wielkiego świata, nie przypuszczała, aby złe miało kiedykolwiek przybierać na siebie idealne szaty.

Nadszedł wieczór. Przyzwoitość któréj mimo wszystkiego, p. Girtenfeld był szczególnym przestrzegaczem, nakazywała jak mówił, uwolnić śliczną gosposię, od dłuższych trudów zabawienia gościa. Pożegnawszy ją jak mógł najczuléj, wymógłszy solenne przyrzeczenie przesyłania poezyi, a razem i wieści o sobie, p. Lucyan kontent z wizyty powrócił do domu.

ROZDZIAŁ IX.

— Lucyanie! może pojedziemy do Tylczy, zawołał p. Adam w pół żartem, w pół seryo, przechodząc przez ogród, w którym zagadnięty, w cieniu drzew, przedobiednie farniente odbywał. Już tydzień jak tam nie byłeś, tak dawno! Może koni moich oszczędzasz, ale dziś są one całkiem na twoje usługi. A może do Jedlówki znowu na odmianę, co wolisz? mnie wszystko jedno.

— Łaskawy jesteś z twemi offertami Adamie, odpowiedział przeciągając się niedbale p. Lucyan, ale ani z jednego, ani z drugiego korzystać nie będę. J'en ai déjà assez mon cher! A nawet, powiem ci, żeś się wcale nie w porę wybrał z tém przypomnieniem. Moja myśl w téj chwili była zupełnie gdzie indziéj.

— A wiesz, że ciekawy jestem gdzie, mój Lucyanie! bo wiem, że na twoje szczęście czy nieszczęście, żadnéj nowéj nie zrobiłeś znajomości. Nawet w Ciechanowcu żadnéj żywéj duszy, coby się płcią piękną nazwać mogła nie spostrzegłeś zapewne. Czys przypadkiem, w portrecie jakim nie zakochał się znowu? Albo, czy jaka zaczarowana Rusałka widząc twe smutki i twe tęsknoty nie wyjrzała przypadkiem z bagien okolicznych, aby cię odwiedzić?

— Żartuj, żartuj Adamie, ile ci się podoba, ale że ja dobrém zwykle za najgorsze płacę, więc najchętniéj i to zaraz, uspokoję twą natrętną ciekawość. Nie portret, nie Rusałka, ale po prostu Warszawka jedyna Warszawka! Voilà le mot de l' énigme.

— Doprawdy! tak więc już wieś dała ci się we znaki?

— Pas du tout, mon ami, pas du tout! nie dla tego. Mnie tu dobrze, jak w niebie i gdyby nie konieczność powrotu uraczyłbym cię jeszcze na długo moją obecnością. Ale widzisz, tak sobie w myśli robiłem porównania. Zestawiłem dwa odmienne typy kobiece: Warszawiankę i wieśniaczkę. I wiesz, że ta ostatnia zgasła zupełnie przy tamtéj.

— A to dla czego, jeżeli pozwolisz?

— Dla tego mój drogi, że te wasze piękności, nie utrzymuję, żeby nie były ładne, żeby nie były miłe i wykształcone, ale nudne, sentymentalne, aż do ckliwości. Skrupulatki, moralistki, a z drugiéj strony takie sobie prostoduszne i wierzące, że nie ma z niemi przyjemności. Po kilku widzeniach wyczerpałeś się zupełnie, masz dwie tylko drogi przed sobą. Albo paść na kolana, i o rączkę prosić, albo zwinąć chorągiewkę, i umykać jak można najdaléj.

— A Warszawianki?

— O! to wcale, wcale co innego. Nie wiem, jak tam wy hreczkosieje, ale zdaje mi się, że mężczyzni w ogólności, my stołeczni szczególniéj, mają tę wadę sobie właściwą, że tylko pewność wielu trudami zdobyta, jest dla nich czemś bardzo drogocenném. Kobiety nasze sont des matresses sur ce point là. Chcąc zbadać głębią myśli serca Warszawianki, potrzebujesz najmniéj pół roku czasu. I nie znudzisz się wcale. Posiadają bowiem to właśnie, ce qui anime ce qui agace, władają tą sztuką nieporównanie!

Warszawianka zwabi cię cudowném spojrzeniem. Tém samém spojrzeniem do razu odtrąci cię; znęci słodkim uśmiechem, ten uśmiech w jednéj chwili zmieni się w dotkliwą ironią; pociągnie serdeczném słowem, a gdybyś ją za nie chciał uchwycić, biedaku! usłyszysz drugie, które cię strąci na samo dno otchłani piekieł! I tak na przemiany aż do téj pory, w któréj zwątlony tą walką nie-

równą, nie złożysz swéj broni u stóp ubóstwionéj, aby tobą jak niewolnikiem rozrządzać raczyła.

— Prześliczny obraz mój Lucyanie skreśliłeś, aż mnie, starego kawalera bierze ochota wejść kiedy w te szranki. Ale nim to nastąpi, wiesz czemu się dziwię? Dziwię się, i to niewypowiedzianie, jakim sposobem ty do tego czasu. zdołałeś się wywinąć od wyżéj przez ciebie opisanéj niewoli?

— I to ci powiem, mój drogi. Nie tylko ja, ale wielu nas może takich, którzy różnym zbiegiem okoliczności, wykształceni zostali na tak zwanych szermierzy salonowych. Zadaniem ich gonić za nowością wiecznie, i zyskiwać sobie względy każdych czarnych lub niebieskich oczu spotkanych na swojéj drodze; życie takie jest bez przyszłości, zapewne, lecz z drugiéj strony, nie uwierzysz znowu, co to za roskosz nieporównana uwić sobie taki cudowny wianeczek wspomnień.

— Być może, nie zaprzeczam, tylko sądzę, że im daléj w życie, tém bledszemi farbami owe wspomnienia rysują się w pamięci i sercu. Bo im kto starszy, tém mniéj podobać się może, a porównania tego rodzaju na smutne naprowadzają wnioski.

— O! temu nie wierz zupełnie Adamie. Różne są gusta na świecie. Jnżem ci kiedyś zresztą teoryą tę wyłożył. W końcu masz żywe przykłady, co to ja jeszcze potrafię; Helenka, Idalka, nie przekonająż cię jeszcze?

— Jakżeż to one przekonać mnie mają?

— Tak, że obiedwie złapały się biedaczki! Jestem najpewniejszy, że jeśli myślą i mówią o kim, to tylko o mnie.

— I tego pewny jesteś także, że to długo potrwa?

— Tak długo, jak tylko zechcę, wierz mi. A jeżeli nie wierzysz, to przyjedź za miesiąc do Warszawy a będę miał corpus delicti w swem ręku.

— Zadziwia mię to trochę, co prawda, bo o pannie Helenie wiem, że to rozumna panienka, a Idalka nigdy lekkomyślną nie była. Ale zresztą, być może. Obałamuciłeś głowy dziewczętom, obiecując im zapewne więcéj, aniżeli dotrzymać zechcesz; one, nie znając w swém cichem życiu, takich starych jak ty Don Juanów, nie posądzają cię wcale o naganną twemu wiekowi płochość.

Wiedz jednak o tém, że ja wcale nie mam ochoty dać ci za wygraną. Pamiętasz naszą pierwszą rozmowę w tym względzie? Pamiętasz, cóś powiedział, że w przeciągu miesiąca wszystkie panny naokoło rozkochasz? Dopiero dwie, a trzecia? Czyś ją osądził za niegodną zabiegów, czy też boisz się w swéj wątłéj łódce puszczać na to faliste morze?

— Ani jedno, ani drugie, bądź pewny. Co do piérwszego panna Marya jest sobie w swoim rodzaju bardzo powabna: co do drugiego, rozbójnik salonowy, taki jak ja, żadnéj kobiety się nie zlęknie. Chociaż przyznaję, że nie ze wszystkiemi jednakowe zachody. Jedne lecą jak muszki do miodu, na drugie musisz użyć całéj sztuki i fortelów męzkich aby je ułowić.

— No, ale przyznaj, że na krótki czas twego tu pobytu, wolałeś grać w pewniejsze.

— Nie, nie, wierz mi Adamie, tylko, co prawda przy pierwszéj znajomości, Helenka jakoś sympatyczniejszą mi się wydała, a powtóre.... zatrzymał się p. Girtenfeld i wpatrzył badawczo w swego kolegę... powtóre, zdawało mi się, żebyś nie był zadowolniony z moich umizgów do panny Maryi.

Zarumienił się zlekka p. Adam i niezwyczajnie prędko odpowiedział:

— O! to ci się bardzo źle zdawało! Mogłeś się spytać, a bądź pewuy, byłbym ci zostawił zupałną wolność w tym razie. Chociaż powiem ci z całém przekonaniem, że tym sposobem uniknąłeś wielu bezowocnych trudów, bo sądzę, że z panną Maryą nie doszedłbyś do żadnego w końcu rezultatu.

— A to dla czego? spytał p. Girtenfeld z przekąsem.

— Dla tego, że to jest panna słynna w okolicy ze swoich wymagań i trudności wyboru. Miała ona już kilka bardzo przyzwoitych partyi, a odmówiła wszystkim ssanowczo.

— Czegóż więc żąda, ta wasza bogini?

— Chce człowieka, coby jéj się podobał nie tylko powierchownie, ale i z przymiotów rozumu i serca. A to niełatwo zaręczam ci, bo stworzywszy sobie ideał, za nim uporczywie goni.

— E! mój Adamie, bo się wziąść do rzeczy nie umiecie. Jest to zapewne panna, która wymaga wiele hołdów, dużo zabiegów i mnóstwa pięknych słówek; panna, któréj się zdaje, że jest jakąś niezwykłą zesłanką na ziemi, którą trzeba pojmować roznmieć, kochać szalenie i grając rolę nie szczęśliwego wspułczucie obudzić. Powoli, cierpliwie, dałoby się sądzę, sprowadzić ją z tego piedestału wyższości, i natchnąć ją pragnieniem uszczęśliwienia wzajemną miłością stale wzdychającegn śmiertelnika.

(d. c. n.)